Nr 4. Kraków, 24 Stycznia 1891. Rok I.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna.

Redakcya ul. Szewska Nr. 5.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

O Rusi i Rusinach.

Z jednego szczepu pochodzimy, mówimy językami tak podobnymi, że nie ucząc się ich rozumiemy jedni drugich, wiarę mamy tę samą choć obrządek inny, na jednej ziemi żyjemy, a od wieków mamy te same dzieje. Jednak nie jesteśmy tem samem co Rusini, a oni nie mają się za to samo co my. Nieraz słyszy się nawet, że są między nami a nimi jakieś dawne waśnie i wzajemne do siebie żale. Dlaczego przy wspólnem pochodzeniu, wspólnej wierze i ziemi, niema takiej ufności i zgody jaka być powinna? kto temu winien? kto kiedy drugiemu zrobił co złego, i ile złego? Warto o tem wiedzieć i to dobrze rozważyć. Dlatego to postanowił *Krakus* przypomnieć i to co za dawnych czasów między nami było, i to co za naszych czasów świeżo się działo i dzieje. Nie będziemy ani swoich przeciw prawdzie bronić, ani drugich niesłusznie oskarżać. Powiemy rzetelnie co było, i co teraz jest. Kto chce żeby było lepiej, ten naprzód musi wiedzieć dokładnie jak się rzeczy naprawdę mają. My chcemy żebyśmy mogli z Rusinami żyć w zgodzie i ufności rzetelnej, i dlatego chcemy, żeby Czytelnicy nasi wiedzieli dobrze, jakie były dawniej stosunki między Polakami a Rusinami, i jakie są teraz.

I.

Ruś za najdawniejszych czasów.

Rusini mieszkają na ogromnej przestrzeni ziemi, która od Sanu i Bugu rozlega się aż do Dniepru i dalej, a od gór Karpackich i od stepów idących ku Czarnemu Morzu, dochodzi na północ aż do rzeki Dźwiny i Inflanckiej ziemi. Na tej wielkiej przestrzeni leży Ruś Czerwona dziś nazywana Galicyą Wschodnią, a pod rządem rosyjskim część Królestwa Polskiego (Chełm i Podlasie), Wołyń, Podole, Ukraina, Polesie i Białoruś czyli wschodnia część Litwy. Litwa właściwa także w większej połowie zamieszkała jest przez Rusinów.

Język ich jest jakoby pośredni pomiędzy polskim a rossyjskim, do obu podobny, a od obu różny. O ziemie te toczyły się walki między Polską a Rossyą przez całe wieki.

Wiarę Chrześcijańską przynieśli Rusinom pierwsi święci apostołowie Cyryll i Metody, Grecy z pochodzenia, a przez Papieża z Rzymu na nawracanie Słowian posłani. W katolickiej też wierze byli Rusini ochrzczeni, tylko na to żeby łatwiej do tej nowej wiary przystali, pozwolił Papież, iżby Msza św. i inne obrzędy odprawiały się nie w łacińskim, ale w słowiańskim języku. Ztąd początek osobnego obrządku Rusinów. Działo się to w dziewięćset prawie lat po Narodzeniu Chrystusa Pana.

Ale wiara katolicka zaszczepiona w niektórych stronach Rusi, nie zdołała utrzymać się długo. Panował nieco później nad tą wielką Rusią potężny książę Włodzimierz, Wielkim nazwany. Ten ożenił się z siostrą greckiego cesarza, i przyjął chrzest, i naród swój ochrzcił. Ale to cesarstwo greckie już wtedy było od jedności Kościoła odszczepiało, i swój osobny schizmatycki Kościół, przeciw powszechnemu zbuntowany zakładało.

Kiedy Włodzimierz chrzest przyjmował, byli ci Grecy znowu do jedności z kościołem chwilowo wrócili, on zatem ochrzczony był w obrządku greckim, ale w wierze katolickiej. Rychło po jego śmierci wszakże oderwali się Grecy od kościoła już na dobre, i pociągnęli za sobą tych Słowian, którzy od nich chrzest św. przyjęli. Między innymi książęcia kijowskiego Jarosława. I odtąd zostali Rusini schizmatykami, aż do czasu kiedy ich po długich wiekach Polska znowu do prawdziwej wiary nawróciła.

Za tego Włodzimierza także zaszły pierwsze zatargi pomiędzy Polską a Rusią. Najstarszy dziejopis ruski, kijowski Mnich Nestor, opowiada w swojej księdze że Włodzimierz „wyprawił się na Lachów i zajął grody ich, Przemyśl, Czerwień i inne“. Z tego się pokazuje że za tego Nestora czasów kraj później Czerwoną Rusią nazwany, należał do Lachów (Polaków) i przez Rusinów samych za polski był uważany. Nasz król Bolesław Chrobry pokój z Włodzimierzem trzymał, a nawet córkę swoją wydał za jego syna Światopełka. Ale gdy po Włodzimierza śmierci młodsi bracia tego Światopełka

z Kijowa wygnali, Bolesław poszedł zięciowi na pomoc, Kijów zajął w roku 1018. (a na bramie jego wyszczerbił swój miecz, który potem królom polskim przy koronacyi przypasywano), Światopełka na tronie osadził, a zabrane „grody lackie“ napowrót odebrał, i do swego państwa przyłączył.

Kiedy po zabiciu św. Stanisława Bolesław Śmiały musiał z Polski uchodzić (rok 1079), a tu u nas panował jego brat Władysław Herman, dość niedołężny, znowu książęta ruscy odebrali nam te „Czerwieńskie grody“. Ale między sobą waśnili i bili się nieustannie, rozradzali się też licznie, a wskutku tego na coraz drobniejsze księztwa się dzielili. Z tego wynikło, że księztwo kijowskie straciło swoje znaczenie. Wzrastać zaczęło inne, daleko ku Wschodowi położone, Suzdalskie, z którego pomału wyrosła dzisiejsza Rossya. Tutaj zaś u nas, na Rusi Czerwonej podniosło się Księztwo Halickie, które przez pewien czas było znaczne, zwłaszcza odkąd się z Włodzimierskiem (na Wołyniu) pod jednym księciem złączyło. Napadało nawet na Polskę, choć jej zwierzchnictwo nad sobą było dobrowolnie uznało: ale książę Roman przez naszego Leszka Białego na głowę pobity pod Zawichostem, sam w tej bitwie poległ (rok 1205).

Po jego śmierci nastało znowu zamieszanie wielkie w Haliczu. Książęta zmieniali się ustawicznie, jedni udawali się o pomoc do Polski, drudzy do Węgier. Węgrzy mieli ochotę nie małą rozszerzyć swoje panowanie na tę stronę Karpat, i udało im się wreszcie królewicza swego Andrzeja z córką halickiego księcia ożenić, i na halickim tronie osadzić. Nie na długo wszakże, bo wypędził go rychło książę Włodzimierski Daniel. Ten znowu wrócił do jedności z Kościołem, przyjął Uniją, od Papieża dostał królewską koronę, miasto Lwów założył (od swego syna Lwa je nazwał), ale za jego czasów spadło straszne na Ruś i na Polskę nieszczęście — Tatarzy! (rok 1241).

Do nas oni wpadli, przelecieli cały kraj aż za Wrocław, spustoszyli, zrabowali, wymordowali co spotkali, ale jak wpadli tak prędko i poszli. Rusi było gorzej. Kraje Moskiewskie Tatarzy opanowali zupełnie, książęta musieli im hołdować, służyć, i haracz opłacać; a ztamtąd do Rusi było Tatarom niedaleko. Zmusili też Daniela, że swoje zamki i miasta poburzył, w napadach na Polskę im pomagał (to samo robił po nim jego syn Lew), a Podole trzymali jak swoje. Osłabioną, rozdrobioną na małe księztwa, niezgodną w sobie Ruś, opanował potem potężny Wielki książę Litewski Gedymin (rok 1319). Podole jedno zostało przy Tatarach; niepodległem zostało tylko księztwo Halickie, a i to zmniejszone bardzo i słabe.

Niebawem wygasł tam ród książęcy. U nas panował wtedy Kazimierz Wielki, spokrewniony z ostatnim księciem Halickim, a przez to uważający się za jego prawnego spadkobiercę i następcę. Zajął też Halickie i Włodzimierskie (Wołyńskie) ziemie: opierało mu się dwóch panów ruskich, którzy z Tatarami się połączyli i na Polskę ich wezwali, ale pobici z królem się pogodzili. Dłużej musiał wojować z Litwą, która wszystkie ruskie kraje zagarnąć chciała; wojna skończyła się na tem, że Litwa wzięła Wołyń, a księztwo Halickie zostało przy Polsce (1340). W kilka lat później wszakże zgodnym sposobem oddała Litwa Kazimierzowi połowę Wołynia.

HISTORYA
O KŁÓTNIACH SZELIGÓW I BERDYSZÓW,
dwóch kmiecych rodzin w Gajowie,
3 i jak się pogodzili ze sobą.

(Ciąg dalszy.)

Ale nie dosyć na tem; Janek znać dzisiaj zawziął się srodze na dziewuchę, aby jej do żywego dokuczyć, i zakrzyknął na całą izbę:

— Hej! słuchajcie jeno — chcę żebyście mieli uciechę. Jeżeli który z Szeligowskiego końca Baśkę do tańca weźmie, to mu łeb na cztery części rozwalę. Jeżeli się jej chce hasać, niech cały wieczór hasa z Walkiem Kuternogą!

Szeligowscy popatrzeli po sobie, ale zobaczywszy, że ich mało, ścisnęli tylko pięście i mruczeli pod nosem: „Damy ci w drugą niedzielę!“ i już naprzód cieszyli się na bijatykę. Wicek Żelazny wymknął się cichaczem, podobno, aby na pomoc Szeligowskich zwołać. Janek tymczasem hulał, muzyka grała, a Baśka siedziała w kącie. Walek częstował ją cenecyą i palił kopercząki; a prosił aby z nim poszła do tańca.

— Kulejęć trocha, ale w tańcu znać nie będzie.

Baśka opierała się z razu, ale gdy Janek powtórnie stanął przed nią i na pośmiewisko zaśpiewał:

Oj czemuż siedzisz w kącie, oj czemu nie tańcujesz?
Gdy Walek zakuleje, to go ty poratujesz —

zerwała się jak oparzona, i stanąwszy w parze z Kuternogą, oddała Jankowi za swoje, śpiewając:

Oj Jonku, głupi Jonku, oj głupie Berdyszowie!
Oj u was rozum w butach, oj, a u Walka w głowie.

Najzaciętsi nie mogli wstrzymać się od pochwalnego wykrzyku: „Zuch Baśka! tęga Baśka!“ a Janek tańcując dalej przemyśliwał tylko, jakby dziewusze odpowiedzieć. Obtańczył raz, drugi i trzeci — aż mu koncept przyszedł do głowy — stanął i zaśpiewał:

Hej gorący to rozum, co go Baśka tak chwali —
Nie zmieścił się już we łbie, to mu na łbie się pali.

Kazimierz nie zmuszał Rusinów do przyjęcia katolickiej wiary, ale dbał o to by ją dobrymi, spokojnymi sposobami rozszerzyć. Zakładał katolickie biskupstwa, w Przemyślu, Chełmie, Haliczu; we Lwowie zaczął budować katedrę, która póżniej stała się arcybiskupią. Katolicy, których między Rusinami była zawsze pewna liczba, zwłaszcza odkąd św. Jacek pracował około ich nawrócenia, dostali przez to pasterzy i większą dla dusz swoich opiekę. Ale Schizmatyków nie tylko Kazimierz nie prześladował, lecz owszem założył im własne Arcybiskupstwo, tak że w swoim kraju mieli całą swoją zwierzchność kościelną.

Po śmierci Kazimierza wstąpił na tron polski jego siostrzeniec Ludwik, król węgierski. Ten jak w niczem Polsce szczerze nie sprzyjał, tak i Ruś od niej chciał oderwać, a do Węgier przyłączyć. Ale ostrożny nie śmiał tego zrobić odrazu, tylko nieznacznie. Postawił nad Rusią wielkorządcę swego, Władysława księcia Opolskiego, jako lennika, a w kilka lat póżniej wcielił poprostu księztwo Halickie do swego Węgierskiego królestwa.

Umarł Ludwik. Po niedobrym dla Polski ojcu nastąpiła najlepsza córka, świątobliwa królowa Jadwiga. Dla rozkrzewienia wiary, i dla ubezpieczenia i wzmocnienia Polski, poświęciło się błogosławionej pamięci dziewczę. Wyrzekła się królowa narzeczonego, którego kochała: oddała rękę Jagielle, Litwinowi i poganinowi. Ten za to z całą Litwą swoją chrzest św. katolicki przyjął, a zamiast dawnych nieprzyjaźni i wojen nastąpiło braterskie połączenie Litwy z Polską. Tym sposobem Jadwiga cały naród jeden dla wiary i Kościoła pozyskała, a Polskę zrobiła wielkiem, rozległem, potężnem państwem (1386). A że Litwa miała już część większą Rusi, więc przez połączenie swoje z Polską, złączyła z nią Litwa i te ziemie także.

Pozostawała Ruś Czerwona, Halicka, przez Węgrów opanowana i trzymana. O tę upomniała się Jadwiga jako prawa dziedziczka po ojcu Ludwiku. i po Kazimierzu Wielkim. Kiedy król Jagiełło nawracał Litwę, ona sama na czele wojska wyprawiła się na Ruś. Ale jej nie wojowała. Wojny nie było. Ledwie na ruską ziemię wstąpiła, wyszli naprzeciw niej do Jarosławia posłowie przemyskiej i lwowskiej ziemi, prosząc aby te ziemie na wieki z Polską złączyła. W Haliczu tylko opierała się węgierska załoga, ale się poddać musiała.

Królowa odprawiła uroczysty wjazd do Lwowa (1387), a wszystkim tym swoim nowym poddanym, jakiejkolwiek krwi i wiary, potwierdziła te wszystkie prawa i przywileje, jakie im niegdyś Kazimierz Wielki był nadał.

Tak się dokonało przyłączenie Rusi do Polski. A bez tego przyłączenia co byłoby się stało z Rusią? Litwa, napastowana z jednej strony przez niemieckich Krzyżaków, z drugiej przez Tatarów, bez Polski nie byłaby zdołała długo bronić się jednym i drugim: a gdyby Tatarzy byli opanowali tę część Rusi, która była pod Litwą, to łatwo potem byliby wzięli i Halicką ziemią. Węgrzy z za Karpat nie byliby potrafili jej obronić. Dla Polski byłoby to niebezpieczeństwo i nieszczęście wielkie, mieć Tatarów w tak blizkiem sąsiedztwie. Ale Ruś byłaby zginęła ze szczętem. Ludzi byliby Tatarzy w niewolników swoich obrócili, wiarę chrześcijańską byliby wytępili bez litości, a swoją bi-

---

Wszyscy spojrzeli na czerwoną głowę Walka i nowy śmiech. Baśka spiekła raka, bo jużcić i ona nie cierpiała Kuternogi, jeno z wielkiej harności ujmowała się za tancerzem kulawym. Kiedy przyszła kolej na nią, zaśpiewała znowu:

Czy się na łbie pali, czy się w głowie chowa,
Jonek głupi panicz — Walek mądra głowa.

Wtedy Janek postanowił się inaczej zemścić. Puścił Baśkę z Walkiem naprzód, a sam resztę taneczników zatrzymał. Tu dopiero powstał śmiech wielki. Kuternoga przy wysokiej Baśce kuśtykał z nogi na nogę, wdzięczył się jak suczka na powrozie i przyśmiechiwał. Rósł on jak na drożdżach, że go Baśka chwaliła; więc się też przypiął do niej jak bodiak, i przyskakiwał i okręcał się na pięcie i wywijał hołubce z dziewczyną— a Janek zaśpiewał z wszystkimi:

Oj nie szukać pary, jest ci piękna para —
Walek Kuternoga i wójtowna Barbara!

i wszyscy nuż się przyzierać, nuż wytrzeszczać oczy, nuż krzyczeć i śmiać się na całe gardło. Baśka stanęła jak głupia, popatrzyła na paskudnego Walka i zamiast odpowiedzieć piosnką, rozbeczała się na głos.

Zamiast jej pożałować, śmiech jeszcze większy. Rzuciła się więc do drzwi i chciała uciec. Berdyszanie zastąpili jej drogę.

— Puśćcie mnie, puśćcie zbóje! zawołała płacząc. Jakie mi zuchy, pastwić się nad biedną dziewuchą.

Jankowi dziwnie się zrobiło na sercu. Poczuł on, że sobie brzydko z Baśką postąpił i żal mu było.

— Ej! o co byś tam beczała — powiedział — dyć to żarty!

— Żarty — jużcić? żarty! Puśćcie mnie! wołała Baśka.

— No! no! Baśko, nie płacz jeno, — rzekł Janek łagodnie; pójdź, pohulamy sobie.

— Hola! hola! zawołała Baśka wydzierając się — jeszcze bym z tobą tańczyła! Niedoczekanie twoje.. Oddam ja ci, oddam za swoje! dodała składając pięść, a Szeligowski koniec odda wam wszystkim.

— Ho! ho! toć i my mamy pięście, zawołali Ber-

surmańską byliby zaprowadzili. Dla Rusi więc i dla Litwy, jak dla Polski, było to połączenie wielkiem szczęściem, wielką zasługą tych co to sprawili, i wielką łaską Bożą. Jakeśmy z tej łaski korzystali, czy tak pilnie i mądrze jak należało, to zobaczymy w dalszem opowiadaniu. *(C. d. n.)*

O miejskim i wiejskim ubiorze.

Powiedzieliśmy w naszem „Słowie na powitanie“, że nie myśmy się zrobili narodem, lecz że nas Pan Bóg stworzył Polakami, a więc *Krakus* będzie uczył miłości Ojczyzny, ale tej prawdziwej, która kocha wszystko, co ojczyste: ziemię polską, język polski i zwyczaje. Otóż dziś pomówimy o jednej rzeczy, co to niby mała, a jednak kiedy jej się przypatrzeć zdrowym rozumem, to większa od tysiąca takich mądralów, co ją sobie lekceważą i z niej się naśmiewają.

Co to są zwyczaje narodowe? Wszystko, czem oprócz języka jeden naród różni się od drugiego. Obchody np. Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Zielonych Świątek, w innych krajach nie tak ładnie i tak poczciwie jak u nas wyglądają. Uczty wigilijne, święcone, kolędy, rzucanie wianków w dzień św. Jana, palenie sobótek, a choćby nawet rozbijanie garnków w popielec, Śmigus i t. d., są to wszystko zwyczaje w całej Polsce znane i obchodzone. Oprócz tego każda okolica ma odrębny sposób odprawiania wszystkich uroczystości domowych. Inaczej odbywają się wesela w Poznańskiem, inaczej na Mazowszu, inaczej na ziemi krakowskiej. Tak samo zrękowiny, chrzciny i pogrzeby. Bawią się także rozmaicie, śpiewają piosnki znane tylko w tym lub owym powiecie, w tych lub owych stronach kraju. Są ludzie, co to wszystko spisują i w dużych książkach wydają nie dla ciekawości jedynie ludzkiej, ale aby bracia jednej ziemi dobrze się poznali i aby przynajmniej w druku pozostała wiadomość o tem, co pomału albo ginie, albo się przemienia.

Bo na nieszczęście tu i owdzie zapominają młodzi o zwyczajach, które od wieków w ich wsiach i miasteczkach rodzinnych istniały. A kto nie kocha tego, na co za młodu patrzał, komu obce są zwyczaje ojców, ten z lekkiem sercem mógłby porzucić i język ojczysty i opuścić ziemię, na której się urodził. Takiemu trudno wiary dawać, bo nie ma w nim miłości do tego, co swoje, bo to obieżyświat, co tylko myśli, aby się najadł i napił, dobrze wyspał, a po wyspaniu dalej znowu do miski.

Do naszych narodowych zwyczajów należy także i ubiór. Od dawien dawna, nietylko jak najstarsi ludzie pamiętają, ale jak to czytamy w książkach, co przed dwustu, ba nawet czterystu laty wychodziły, mieszkańcy wsi i małych miasteczek mieli w każdej okolicy kraju swoje ulubione, przez wszystkich noszone ubrania. Tu inne mieli czapki, tam inny krój sukman i kapot; tu ubierali się przeważnie w kolory niebieskie, gdzieindziej w czerwone, tu inaczej obuwali nogi, tam inaczej wyszywali koszule. To też skoroś tylko spojrzał na włościanina, toś wiedział, z których stron pochodzi, która ziemia była mu matką.

Od niedawna i tu jednak wkradły się lekkomyślność i nieposzanowanie zwyczajów. Od pewnego czasu

---

dysze. Ale Janek nie dał jej zatrzymywać, otworzył drzwi i puścił Baśkę, mówiąc:

— No! nie gniewaj się, widziałem, jakeś przedwczoraj Walka przywitała na ogrodzie i wiem, że go nie cierpisz. Chciałem ci figla spłatać.

Za chwilę przybył stary Szeliga i kilku krewniaków. Spotkał on Baśkę na drodze i dowiedział się o wszystkiem.

— To ty paskudniku jakiś będziesz nad mojem dzieckiem przewodzić! — krzyknął na Janka.

— Ho! panie wójcie, wasza dziewka nie żadna wielmożna pani, żeby z nią nie żartować, odrzekł jeden z Berdyszów.

Nie obeszło się więc i dziś bez bitki. Ale Janek nie dowodził jak przódy i widać było, że Szeligę starego wymija. Szynkarz zagodził sprawę. Kuternoga, chociaż taki wielki wojak, nie ujął się ani za Baśką, ani za wójtem — a szynkarz mnie opowiadał, że się podczas bitki za szynkwas schował, niby to szukając zgubionego grajcara.

Od tego czasu wojna między Jaśkiem i Basią rozpoczęła się na dobre. Ledwie się nazajutrz obudził i wyszedł w pole, aliści widzi, że mu ktoś konie z paszy rozpętał, a dzielne szkapy poleciały na wszystkie wiatry. Gonił ich pół dnia, a gdy zziajany wracał, ujrzał Baśkę śmiejącą się w oknie. Pogroził jej palcem i postanowił zemstę.

Na drugi dzień Baśka, wychodząc rano do swoich gęsi, które bardzo lubiła, ujrzała, że wszystkie zczerniały jak węgiel. Ktoś je posmarował mazią. Kiedy je myła nad rzeczką, Jasiek, okopujący w ogrodzie ziemniaki, śmiał się na całe gardło.

Trzeciego dnia rano zobaczył Janek, że ziemniaki wczoraj okopane, znowu zrównaną mają ziemię i udeptaną nogami. Nogi były malutkie: Jasiek poznał, że to Baśka zrobiła.

Zato przez zemstę kokoszkom ulubionym Baśki poucinał prześliczne czuby.

Przyszło żniwo: Baśka na zarobku u pana tak się zwijała, że przodkującego zawsze Janka zostawiała w tyle za sobą.

— Tęga dziewucha i robotna, szkoda, że Szeli-

po miasteczkach i po wsiach, szczególnie tych, co blisko miast leżą, coraz więcej rozpowszechnia się strój miejski. Popatrzmy jeno w dzień świąteczny jak całe rodziny idą do kościoła. Rodzice w starodawnym stroju: ojciec w czamarze naszywanej taśmą z pętlicami i guzami, albo też w sukmanie białej, lub granatowej; matka w kolorowej spodnicy, białej jak śnieg koszuli, z piękną dużą chustką na głowie, w sukmance, zimą w kożuchu lub w czubie, wyglądają dostatnio, porządnie i ładnie. Przywykli do swego stroju, umieją w nim chodzić, ruszają się swobodnie. Od razu poznać, że to mieszczanin z ojca, dziada i pradziada, w miasteczku osiadły, może członek rady lub majster szanowany przez wszystkich, — a ten w sukmanie to gospodarz porządny, co mógłby i wójtem zostać. Żony ich, to kobiety pracowite, dobre gospodynie w polu i ogrodzie. Takich można serdecznie powitać, bo wie się dobrze, że jak przystąpić do nich z „pochwalonym", to ci po ludzku odpowiedzą.

Ale obok rodziców, tak pięknie po dawnemu poubieranych, widzisz jakieś cudaki dziwacznie postrojone. Chłopcy mają jakimś tłuszczem wysmarowane głowy, że aż się świecą, poubierani w jakieś surduty niezgrabnie uszyte, niedopasowane do miary, zaszerokie albo zawąskie, a nogawice powypuszczane na buty, czapki ladajakie, często żołnierskie z bączkiem. Czasem kołnierz od koszuli wysoki, nakrochmalony, podrzyna gardło jakby chomont. Pytasz, co to za ubiór? — odpowiadają ci, że to *tuziurki*, albo *garnitury*, i że to *taka moda*. Myślisz sobie: ładna moda, takie cudaki z siebie robić! Rozglądasz się między dziewczętami z miasteczek: zamiast gorsetu na białej koszulce, a warkoczy spuszczonych i wstążek albo kwiatów na głowach, widzisz grzywy nad czołem, które aż na oczy spadają, kaftaniki niezgrabne, a wszystko nie wiedzieć po jakiemu zrobione. Z hożych, ładnych dziewcząt porobiły się czupiradła. Wszyscy wyglądają jak w pożyczanem ubraniu, a skrępowani niby postronkami, aż litość bierze. Dziewczęta przywykłe w dnie powszednie ubierać się wygodnie, duszą się w tych sukniach świątecznych. Sznurówka gniecie i oddech tamuje, stanik piersi uciska, pod pachami się wpija, przy szyi dławi, aż krew do głowy uderza. Doprawdy śmiesznie i niemiło patrzeć na te twarze czerwone (bo szyje pościskane i krew do głowy napływa), spotniałe, świecące się, jakby lakierowane. Rodzice wyglądają pięknie, poważnie, a dzieci... pożal się Boże! I powiadają, że „to taka moda".

A teraz popatrzcie-no na nich w kościele. Nawet przyklęknąć nie mogą swobodnie, bo coś w ubraniu pęknie, lub wreszcie powala się na zakurzonej podłodze. Więc podkładają sobie pod kolana chusteczki, a podczas podniesienia ostrożnie i powoli przyklękają. Ale przytem chyba więcej myślą o swojem ubraniu, niż o modlitwie.

Żebyż na tem złe się kończyło! Gdy kto chce z siebie robić cudaka, krępować się niewygodnem ubraniem, — wolna wola, tem sobie tylko szkodzi. Ale są inne, daleko gorsze następstwa zmiany mieszczańskiego i wiejskiego ubrania na ów strój niby „modny".

Pierwsze złe, że strój ten drogo kosztuje i prędko się niszczy. Zapłacisz za niego kilkanaście reńskich i oto zrobi się z *garnituru* gałgan. Niech go deszcz zmo-

---

żanka! pomyślał sobie Janek. A że mu i teraz konie rozpętywała i puszczała na cztery wiatry, więc wracając raz z końmi, zawołał do śmiejącej się Baśki:

— Słuchaj psotnico dyabelska, jak mi raz jeszcze konie puścisz, to ruski miesiąc popamiętasz.

— Albo cię się to boję — odrzekła Baśka.

Ale Janek chciał dotrzymać słowa. Poszedł spać do krzaków przy pastwisku, a schowawszy się dobrze, czekał rana. Ledwie się rozwidniało, aż tu Baśka leci chyłkiem od chałupy, prosto ku spętanym koniom, a ogląda się, czy jej kto nie widzi. Jankowi aż serce zabiło z radości — czeka jeszcze — aż tu, gdy się Baśka schyliła do koni — on hyc! z krzaków i Baśkę za ręce.

— No cóż? dotrzymałem ci słowa. Poczekaj!

— Mój Janku! już mnie puść, już nigdy nie będę.

— Aha! nigdy nie będę! Teraz to „nigdy nie będę". A małom się nalatał za memi końmi? A mało szkody narobiły? Sprawię ja ci łaźnię!

Ale dziewucha tak pięknie prosiła, tak była przestraszona, że Janek jakoś nie mógł jej wybić. Baśka była piękna dziewucha jakich mało, a u młodego krew nie woda. To i Jankowi się gorąco zrobiło i pomyślał sobie, żeby ją wolał pocałować, gdyby to nie była Szeliżanka.

— A tyś mi to mało dokuczył — mówiła. — Przypomnij sobie, jakeś mnie w karczmie na pośmiewisko ludzkie wystawił.

— A tyś mi powiedziała, żem głupi.

— A tyś mi gęsi mazią obsmarował, że ich dotąd wymyć nie mogę.

— A tyś mi okopane ziemniaki zdeptała.

— A tyś mi uciął czuby moim kokoszkom.

— No słuchaj Baśko! już cię nie wybiję, ale cię pocałuję i będzie kwita.

— Oho! pocałuję, — zawołała Baśka, czerwieniąc się — jeszcze Berdysz nie dorósł do mojej gęby.

— Aha! bo Walek dorósł!

— Ani Walek, Walka nie cierpię.

— A kogoż byś wolała, Walka czy mnie? — zapytał Janek, któremu się dziewczyna coraz bardziej podobała, im bardziej się jej przyglądał. *(C. d. n.)*

czy, niech pył przysypie, zaraz wystąpią na nim plamy; niech słońce przypiecze, a materyał taki wypłowieje, że nie poznasz jakiego był koloru. Z sukniami kobiecemi gorsza bieda, bo jeszcze prędzej się niszczą.

Nic dziwnego. Gatunek użyty na ubrania męskie czy też kobiece bywa najgorszy; trudno więc, żeby był trwały i piękny. Dobre gatunki rzadko kiedy nawet sprowadzają do mniejszych miast i miasteczek, bo są drogie, a kupującym idzie przedewszystkiem o taniość.

Gdybyż to jeszcze towar kupowano na metry i łokcie i kazano z niego robić ubrania; byłyby one brzydkie i drogie, ale przynajmniej z nowego szyte.

Od czasu jednak, jak wielu mieszczan, a nawet włościan, zarzuciło strój starodawny i przebiera się po miejsku, prawie w każdem miasteczku jest sklep z gotową odzieżą. Jest ona niby tanią, ale też prawdę mówi przysłowie, że „za psie pieniądze, psi mięso jedzą". Łakomiąc się na ową taniość, ciągną ludziska do sklepów, bo mogą sobie w nich wybrać to, co im się najlepiej podoba; przytem kupiec najczęściej namawia, zachęca do kupna, przysięgając się na wszystkie świętości, że to „fajn towar, najbogatsze panowie takie noszą". Wielu pociąga znów to, że zamiast zamówić ubranie u krawca i czekać na robotę, mają je odrazu gotowe. Idą tedy do sklepu żydowskiego, wybierają i przymierzają. Tu największa bieda, bo często właśnie to, co się najbardziej podoba, ani rusz nie pasuje, a to, coby pasowało, jakoś nie nęci. Sprytny jednak kupiec na wszystko ma radę. Choćby najszkaradniej leżał stanik albo surdut, choćby spodnie były o ćwierć łokcia zakrótkie albo zadługie, suknia zaszeroka czy zawąska, — on zaręcza, że „leży jak ulał", że można obciągnąć, albo założyć, rozpuścić lub zaszyć, wedle potrzeby. I jak zacznie gadać, a przekonywać, chwalić, a przysięgać się, że „jemu za ten towar podziękują", w końcu oszołomi człeka, głowę mu zawróci, jednem słowem wmówi w niego towar całkiem niezdatny do użytku. Dopiero po powrocie do domu, zobaczysz, że cię oszukano. Ale wtedy już zapóźno; zapłaconego towaru kupiec napowrót do sklepu nie przyjmie, ani nawet nie zamieni go na inny, chyba za dobrą zapłatą.

Takie gotowe ubrania kobiece i męskie — to *starzyzna*, to używane rzeczy, niby trochę odświeżone po wierzchu, a w rzeczywistości zniszczone i do użytku prawie niezdatne. W takim sklepie ze starzyzną prawie zawsze półciemno i trudno w nim coś dobrze obejrzeć. Dopiero w domu, gdy już towar kupiony, można dostrzedz, jak on zręcznie podłatany i ponaprawiany; przy świetle wychodzą na wierzch umiejętnie ukryte plamy i dziury. To też ledwo przyodziewek ten parę razy włożysz na siebie, już wygląda on na to, czem jest zaprawdę — na gałgan.

Nietylko szkodę pieniężną przynosi stara odzież; wyrządza nam ona czasami jeszcze inną krzywdę, gorszą daleko: oto niszczy zdrowie. Zdarza się, że ni ztąd ni zowąd najzdrowszy człowiek zachoruje. Zdaje się, że nigdzie w pobliżu, w całej okolicy nie słychać o żadnej wysypce, o żadnych krostach, — a tu nagle w chacie zachoruje jeden, od niego zarazi się cała rodzina, choroba rozejdzie się po wsi — i ludzie w głowę zachodzą, zkąd się ona wzięła. „Bóg pokarał" — mówią, nie mogąc znaleść żadnej przyczyny. To znowu ktoś dostanie jakichś brzydkich liszajów albo wrzodów na całem ciele, lub nawet świerzby. Zkąd? — pytają. — Oto właśnie z tej odzieży, kupionej w składzie gotowego ubrania. Odzież tę nosił ktoś chory, i albo sam ją sprzedał, albo umarł, a po jego śmierci wszystkie rzeczy poszły między ludzi roznosić chorobę po świecie.

Tak więc ów strój miejski, do którego coraz więcej ludzi się garnie, nietylko cudacznie wygląda, nietylko drogo kosztuje i nieraz ostatni grosz z chaty wyciągnie, ale jeszcze sprowadzić może ciężką, czasem nieuleczalną chorobę.

Niech więc każdy tak chodzi ubrany, jak jego ojcowie chodzili. Uszanuje stary zwyczaj, będzie wyglądał ładnie i dostatnio, nie wyda grosza na marne i stare łachmany, i nie zarazi się brzydką chorobą.

Bartosz Kaźmirczyk.

Emigracya do Brazylii.

(Ciąg dalszy).

Co się stało z owym panem Dygasińskim, którego listy podaliśmy w drugim i trzecim numerze *Krakusa*, dotychczas nie wiadomo. Od 1 grudnia, to jest blisko od dwóch miesięcy, nie otrzymano od niego żadnej wiadomości, — ponieważ zaś list z Brazylii idzie trzy tygodnie, a więc już przed miesiącem powinno było przyjść pismo od niego. Kto wie, czy nie stało się z nim w Brazylii jakie nieszczęście, bo Brazylijczycy dowiedzieli się, z czego się zresztą przed nimi nie krył, że pojechał dla tego tylko do Brazylii, aby zobaczyć, jak tam się dzieje naszym braciom Polakom i wiernie opisać, czy im źle czy dobrze. A ponieważ mamy dużo wiadomości, że im tam się nie powodzi, i że strasznie żałują opuszczenia ziemi rodzinnej, przeto rządowi brazylijskiemu bardzo nie na rękę był taki człowiek, co mógł wszystko dobrze wybadać i szczerą prawdę napisać. Może więc być bardzo łatwo, że go gdzieś zamknęli, albo listy jego na poczcie zabierają. Inaczej sobie jego długiego milczenia wytłómaczyć nie podobna.

Kiedy więc nie mamy listu od Dygasińskiego, posłuchajmy zatem, co pisze o naszych rodakach, mieszkających w Brazylii, ów Nestorowicz, który opisał nam swoją podróż morzem w pierwszym i drugim numerze *Krakusa*.

Pisze on tak:

„Wielu wychodźców, jadąc do Brazylii, myśli, że

znajdą zarobek w mieście. I starają się też w mieście zamieszkać, żeby się prędzej tamtejszej mowy nauczyć i oswoić z życiem w tamtym kraju. Ale się tylko łudzą napróżno. Dostać w mieście brazylijskiem jakie zatrudnienie Polakowi, bardzo trudno. Nikt nie przyjmie do swego domu służącego, woźnicy, kucharza, ani stróża, który nie umie rozmówić się ze swym panem, ani rozumieć jego mowy i rozkazów. Prędzej już znajdzie tam służbę Włoch, Niemiec, Francuz, lub człowiek z jakiego innego narodu, bo każdemu z nich łatwiej odszukać w jakiembądź mieście brazylijskiem swoich rodaków, którzy robotę dać mogą.

„Polakowi mógłby dać zajęcie w swoim domu tylko Polak; ale takich Polaków-chlebodawców niema zupełnie w Brazylii.

„Oprócz Ryjo de Żanejro znam większą część miast brazylijskich i w każdem z nich dopytywałem się o rodaków naszych. Znalazłszy jednego, łatwo się było dowiedzieć o innych.

„Ażeby zrozumieć, jak Polaków w miastach brazylijskich jest mało, dość powiedzieć, że w Ryjo Żanejro, liczącem 350 tysięcy mieszkańców, Polaków przebywało tylko dwóch: tapicer Łycha i siodlarz Krauze. Obydwaj choć tam osiedli od lat pięciu, choć ludzie

Rysunek do powiastki „Historya o kłótniach Szeligów“.



Jasiek porwał Baśkę, stanął przed muzyką i zaśpiewał (patrz Nr. 3-ci *Krakusa*).

oszczędni, a jednak pracują jako czeladnicy, zarabiają po 1 złr. dziennie. Po godzinach fabrycznych biorą jeszcze robotę do domów, aby na skromne utrzymanie przy tamtejszej drożyznie wystarczyć im mogło. W mieście Santa-Paulo znalazłem niejakiego Szczygielskiego, szewca, który również dotąd nie dorobił się niczego, choć sam warsztat prowadzi. W miastach Santosie, Paranie, Ryjo-Grande i innych o żadnego z naszych rodaków dopytać się nie mogłem.

„Niedaleko od miasta Kurtyby znalazłem wieś polską, zamieszkaną przez 60 rodzin. Jest to lud z Galicyi, mieszkający tam już od lat 13. Chałupy ich jednak i dobytek są takie, że dobrego bytu nie widać wcale. Ludzie zaś wszyscy, kiedym do nich przyjechał, skarżyli się na wycieńczenie, osłabienie sił od gorąca i na tęsknotę za swoim krajem i jego obyczajami. Przykro było patrzeć na tych osadników; żaden nie wyglądał zdrowo, jak nasi wieśniacy. Choć żyją wśród takich upałów, twarze ich nie były wcale ogorzałe, jak się spodziewałem zobaczyć; przeciwnie, były chorobliwo-białe, blade.

„Najdłużej gawędziłem z czterdziesto-kilko-letnim Stanisławem Woźniakiem. Zapamiętałem dobrze jego słowa, które oto powtórzę dokładnie:

— „Smutno tu — mówił Woźniak; a choć niby jesteśmy swoi i żyjemy w gromadzie, ale to nie takie życie, jak u nas w kraju. Tam człowiek, bywało, co niedziela do kościoła poszedł, czasami na odpust albo na jarmark pojechał, ludzi z innych wsi zobaczył, pogwarzył, zabawił się. A tu, jak wyjrzeć z tej wioski, to tak, jakby się świat kończył. A i zjeść tu nie można, tak jak u nas. Kapusty i kartofli dochować się bardzo

trudno, słońce wszystko wypali, a o życie i jęczmieniu nie ma co mówić, tego nawet na skosztowanie nie mamy. Jadamy najwięcej tej ciarki (mięso suszone, które do Brazylii sprowadzają z innych krajów w Uragwaju i Argientyny, a zowią po tamtejszemu „charce"); ale to twarde, suche mięsisko rozgotować trudno, a czasem cuchnie jak padlina. Próbowaliśmy nieraz przychować sobie to wieprza, to kur kilka, ale to wszystko jakoś marnieje. Paszy jest dostatek, ale bydło nie chowa się dobrze i biednie wygląda, a szklanki mleka dla dziecka nieraz udoić nie można. Jeszcze to nic, póki tu niby zima, bo upały wtedy tak nie dokuczają. Ale żal się Boże, gdy przyjdzie lato! Człek tak zesłabnie z tej spiekoty, że ledwie nogi za sobą włóczy; jedzenie w gardło nie lezie, a koszula ciągle mokra z potu, przylepia się do ciała. Oj ciężka to pora roku!"

„Zaprzyjaźniwszy się z Woźniakiem, pytałem go, czy też żyjąc tam można co zaoszczędzić.

— Gdzie tam! — odrzekł. — Jak tu co zebrać, kiedy wszystko takie drogie! Za koszulinę lub za lada jaką szmatę dla kobiety zaraz zapłać kilka reńskich, a takie to wszystko słabe jak pajęczyna. Pracuję ciężko i kobiecisko się mozoli, a do pieniędzy przyjść nie mogę.

„Inni osadnicy w tejże wsi mówili mniej więcej to samo, co Woźniak, tak samo się uskarżali.

„Pan Szulc z Poznania zamieszkał w mieście Kurtybie; założył tam sklep z zapasami żywności i z odzieniem, licząc głównie na polskich osadników. Mówił on mi, że żaden z tych osadników grosza się nie dorobił.

„Od tegoż pana Szulca dowiedziałem się, że wychodźcy nasi w okolicach Kurtyby przed kilku laty sprowadzili sobie księdza z Galicyi, — jeżeli mię pamięć nie zawodzi, nazywał się Piaszczyński; ale ksiądz nie mógł tam mieć utrzymania i podobno dlatego wyjechał z parafii.

„We dwa miesiące po wyjeździe moim z Kurtyby przekonałem się, że osiedli tam Polacy naprawdę nie byli zadowoleni ze swego losu w Brazylii i wyrzekali szczerze. Oto na ulicy w Ryjo Żanejro spotkałem gromadkę, z sześciu rodzin złożoną i mówiącą po polsku. Szukali oni taniego okrętu, żeby się mogli zabrać do Ameryki północnej.

— Może tam będzie nam lepiej — mówili — bo tu w Brazylii doprawdy dłużej wytrzymać nie można.

„Nie umieli sobie dać rady w mieście, nie mogli się z nikim rozmówić, więc pomogłem im wyszukać próżny budynek, żeby mieli gdzie nocować i chronić się od słońca i ulewy. Potem zaś zająłem się dla nich biletami na okręt odchodzący do Nowego Jorku. Ponieważ jechało dużo osób razem i dla całej tej gromadki kupowałem bilety, więc postanowiłem targować się z właścicielami okrętu. I po długim targu zapłaciłem po 110 reńskich za każdy bilet na jedną osobę. Wyjeżdżając z Kurtyby posprzedawali oni swoje osady w tamtej okolicy, więc mieli trochę pieniędzy; ale gdy wsiedli na okręt, pozostało każdemu z ojców rodzin ledwo po parę dziesiątków reńskich".

Od dosyć dawna już osiedlili się w Ameryce Południowej wychodźcy z krajów przeludnionych, a leżących nad morzem, zkąd przyjazd łatwiejszy i tańszy, więc Włosi, Francuzi, Hiszpanie, Portugalczycy, Niemcy. W ostatnich dwudziestu latach szczególniej Włochów dużo tam jechało tak, że w Argientynie i Uragwaju jest ich teraz więcej, niż ludzi jakiegobądź innego narodu. Do Brazylii jednak wynosiło się ich nie wielu, bo nawet Włosi boją się tamtejszej spiekoty, choć przyzwyczajeni są do wielkich upałów w swoim ojczystym kraju. „Nieużyty i pokorny Neapolitańczyk, czyli Włoch z okolic miasta Neapolu — jak pisze Nestorowicz — przywykłszy do nędzy w swoim kraju, kiedy przyjechał, bywało, do Ameryki, potrafił wcisnąć się wszędzie; a dostawszy jakie zajęcie, umiał oszczędzać, że skąpstwo jego weszło tam w przysłowie. Jak żyd, o kawałku chleba i główce śledzia, albo o jednej pomarańczy, biega on dzień cały. W małej wynajętej izdebce, gdzie jest miejsca i powietrza ledwo na dwie osoby, mieści się ich dziesięciu. Aby w takiem życiu wytrzymać lat kilka, trzeba urodzić się Neapolitańczykiem.

„Ale dlaczegoż teraz amerykańscy spekulańci starają się sprowadzać nie Włochów, jeno naszych Polaków? Oto dlatego, że w ostatnich latach coraz mniej Włochów było chętnych jechać do Ameryki, a od początku tamtego roku wychodźtwo ich zupełnie ustało. Przeciwnie zaś, z Ameryki do Europy coraz więcej Włochów powraca". *(D. c. n.)*

Wiadomości polityczne.

Ziemie polskie.

W sejmie pruskim ks. dr. prałat Stablewski postawił wniosek, aby w nowej pruskiej ustawie szkolnej wyraźnie powiedziano, że nauka religii w szkołach ma być udzielaną w języku ojczystym. Nad wnioskiem tym obradowała w zeszłym tygodniu sejmowa komisya szkolna. Minister oświaty jak mógł tak się wykręcał. Trudno mu było zaprzeczyć, że ks. Stablewski ma słuszność, boć jeżeli Pan Bóg podzielił ludy na narody i każdemu dał mówić innym językiem, toć prosty rozum wskazuje, że czci boskiej każdy powinien się uczyć w swoim języku. Więc pan minister nic nie mógł przeciwko temu powiedzieć, ale dowodził, że to rzecz bardzo trudna, bo w państwie pruskiem jest czternaście narodowości, które są często tak pomieszane, że nie można byłoby wskazać, w której szkole w jakim języku mają uczyć religii. Co do Polaków, mówił jeszcze minister, że dużo z nich mieszka w prowincyach czysto niemieckich, dokąd poszli za zarobkiem, — zkąd więc dla nich dostać pomiędzy księżmi niemieckimi takich, coby mówili po

polsku. Na te wykręty ks. Stablewski odpowiedział, że on to wszystko w swoim wniosku już przewidział i wyraźnie zaznaczył, że gdzie władze kościelne nie będą mogły dostarczyć nauczyciela religii w ojczystym języku, tam będą musiały poprzestać na uczeniu religii w języku obcym. Ponieważ jednak ma przyjść pod obrady sejmu sprawa w ogóle języka ojczystego, przeto ks. Stablewski wniosek swój cofnął, aby go podnieść później, kiedy przyjdzie czas na owe rozprawy o języku ojczystym. Spytał się także ks. Stablewski, czy to prawda (o czem donosiliśmy w poprzednim *Krakusie*), że nauczyciele mają donosić rządowi o tych księżach, coby z nauczycielami lub uczniami po polsku mówili. Minister nic na to nie odpowiedział, boć to wstyd wielki przyznać się, że nauczycielom kazano być szpiegami.

W tymże samym sejmie pruskim rozpoczęto w d. 19 b. m. obrady nad etatem. Między innemi rząd zażądał 37 tysięcy marek (koło 20 tysięcy złr.) więcej na rzecz komisyi kolonizacyjnej, to jest tej, co ma skupywać ziemię polską dla osadników niemieckich, o czem czytelnicy dobrze wiedzą z poprzednich Nrów *Krakusa*. Poseł Rickert powiedział z tego powodu na tem posiedzeniu, że żądania rządu niczem usprawiedliwić nie można, gdyż ustawy przeciw Polakom do niczego nie prowadzą. Później nasz poseł Czarliński mówił o krzywdach jakie się dzieją narodowi polskiemu pod panowaniem Prusaków. Najdłużej mówił poseł Windhorst. Dowodził, że Prusom potrzebny jest pokój wewnętrzny, a ztąd prześladowanie Polaków nie leży w interesie państwa. Zdrowa polityka potępia środki przeciw Polakom zarządzone i każe się cofnąć ze złej drogi. Już sam rząd zrozumiał jak złem jest dla Prus wydalanie robotników z Królestwa Polskiego i Galicyi, i ostatniemi swojemi rozporządzeniami, dozwalającemi na wpuszczanie tych robotników, widocznie zamierza złe naprawić. Gdybym, mówił dalej Windthorst, miał prawo wydawania rozporządzeń, tobym usunął natychmiast całą komisyę kolonizacyjną, a sto miljonów przeznaczonych dla niej, obróciłbym na cele pożyteczne jak ulepszanie ziemi, kanalizacye, koleje. W prowincyach polskich, tak zakończył, trzeba zupełnie zmienić dotychczasowy system rządzenia, bo gwałtem do niczego się nie doprowadzi. — O tym Windthorstcie, co on za jeden, piszemy dziś dalej w „wiadomościach politycznych“.

Rzym. Ponieważ Portugalia z państwem Kongo w Afryce nie może się pogodzić przy rozgraniczeniu swych posiadłości, przeto król belgijski, będący opiekunem państwa Kongo, napisał list własnoręczny do Ojca św., prosząc go, aby przyjął w tej sprawie pośrednictwo. Już więc po raz drugi Ojciec św. będzie sędzią w sprawach pomiędzy państwami. Dowodzi to, jak wszyscy są przejęci najwyższą czcią dla niego, i jak wierzą, że jego zdanie jest najbezstronniejsze, najsłuszniejsze i najsprawiedliwsze.

Austrya. W Wiedniu zmarł poseł (ambasador) turecki Sadullah Pasza. Przyczyną śmierci było dobrowolne zatrucie się gazem. Jedni mówili, że zmarły targnął się na swoje życie z powodu strat pieniężnych; drudzy zaś, że z powodu niełaski, w jaką wpadł u sułtana. Tymczasem pokazało się, że Sadullah majątkowo stał dobrze, a sułtan, dowiedziawszy się o jego otruciu, telegrafował, aby wezwać najlepszych lekarzy i dodał, że uratowanie Sadullaha będzie uważał za uczynioną sobie przysługę. Są wreszcie tacy, co sądzą, że przyczyną samobójstwa były wiadomości o złym stanie zdrowia żony i ukochanej córki. Sadullah był posłem w Wiedniu przez lat ośm, a przedtem po wojnie rosyjsko-tureckiej brał udział w zawarciu pokoju w San Stefano i w późniejszym kongresie berlińskim, na którym żądania, jakie Moskale stawiali Turcyi, znacznie zmniejszono.

Arcyksiążę Franciszek Ferdynand d'Este, syn Arcyksięcia Karola Ludwika, brata Najjaśniejszego Pana, wyjeżdża do Petersburga dla złożenia odwiedzin rodzinie carskiej. Wyjazd ten uważają za prostą grzeczność, której wymaga niedawny pobyt carewicza następcy tronu rosyjskiego na dworze austryackim. Arcyksiążę Franciszek Ferdynand, jak wiadomo, uchodzi za następcę tronu austryackiego, choć tego dotąd urzędownie nie ogłoszono.

Córka Arcyksięcia Karola Salwatora Arcyksiężniczka Marya Antonina zmarła na suchoty w 17-ym roku życia.

W Pradze znieważyli studenci zasłużonego męża, długoletniego przywódcę Czechów, Riegera, za to, że pracuje nad ugodą pomiędzy Niemcami a Czechami, o czem było w 2-gim Nrze *Krakusa*. Obrzucono go błotem i śniegiem. Wstyd narodowi czeskiemu, że na takie wybryki zezwala.

Niemcy. Książę Henryk pruski, brat cesarza, pilnie się przykłada do zaznajomienia się z administracyą państwa niemieckiego. Pomaga mu w tej nauce z polecenia cesarza minister Herrfurth, cesarz bowiem pragnie, ażeby na przypadek jego choroby lub dłuższej nieobecności w kraju, książę Henryk zastępował go w rządzeniu państwem.

Piękna uroczystość odbyła się w Niemczech w 80-tą rocznicę urodzin przywódcy katolików niemieckich Windthorsta. Ludwik Windthorst, syn włościanina z Westfalii, urodzony 17 stycznia 1811 r. był z początku adwokatem, potem sędzią, aż w końcu został prezesem ministrów w Hanowerze. Kiedy Prusy zabrały Hanower w r. 1866, Windthorst został wybrany do parlamentu niemieckiego i stanął zaraz w obronie uciskanego przez Bismarka Kościoła. W ogóle stał się największym przeciwnikiem polityki Bismarka, przemawiając zawsze za

prawem i sprawiedliwością. Nadarmo Bismark chciał jego wpływ usunąć — Windthorst był dla niego najtwardszym orzechem do zgryzienia. Znakomity mówca, pełen nauki i dowcipu, zadawał ciężkie ciosy Bismarkowi i niejednokrotnie zmuszał go do odwrotu. Jego staraniom zawdzięczać należy, że Bismark przestał wojować z Kościołem. To też katolicy niemieccy otoczyli Windthorsta czcią wielką i w dniu 17 stycznia, jak mogli, tak starali się okazać mu swoją wdzięczność. Między innemi złożyli na jego ręce 43 tysięcy marek na powiększenie funduszu budowy wznoszonego przez niego kościoła. Ale jakie uznanie wyrobił sobie ten znakomity starzec nawet między przeciwnikami, dowodzi to, że prezes parlamentu niemieckiego bar. Levetzow, który zawsze się trzymał poły Bismarka, w dzień urodzin Windthorsta wypowiedział w parlamencie serdeczne dla niego życzenia i zamknął posiedzenie, aby wyrazić w ten sposób niezwykłą cześć dla szlachetnego przywódcy katolików. Najwięcej jednak Windthorsta, jako przywiązanego syna Kościoła, ucieszył list, jaki do niego w tym dniu uroczystym napisał z polecenia Ojca św. kardynał Rampolla, przesyłając mu życzenia i błogosławieństwo Najwyższego Pasterza. My Polacy także wzięliśmy udział w tej uroczystości, a *Kuryer Poznański* wydał osobny numer pięknie kolorami wydrukowany na cześć Windthorsta, bo trzeba wiedzieć, że znakomity ten człowiek zawsze stawał w naszej obronie przed prześladowaniem Bismarka i jego przyjaciół, co nastawali na nasz język i naszą narodowość. Na uczcie, danej dla Windthorsta, przemawiał nasz poseł ks. Stablewski, a Windthorst, dziękując Polakom, wspomniał, że otrzymał telegram z życzeniami od ks. kardynała Ledóchowskiego, co mu sprawiło wielką radość. Dodał także, że jak dotychczas, będzie zawsze bronił praw Polaków.

Dnia 26-go stycznia odbędą się chrzciny szóstego syna cesarza Wilhelma. Na ojców chrzestnych zaproszono Cesarza Franciszka Józefa i króla włoskiego Humberta. W zastępstwie króla włoskiego będzie trzymał do chrztu małego cesarzewicza książę Genui, a Cesarza Franciszka Józefa zastąpi Arcyksiążę Eugeniusz.

Rosya. Car na otrzymane życzenia w dniu Nowego Roku, złożone przez gubernatora Moskwy księcia Dołgorukowa, odpowiedział, że wnosi modły do Boga, aby i w tym roku zesłał na Rosyę błogosławieństwo pokoju i pomyślności. Jakoś jednak te modły nie idą w parze z postanowieniami cara i ministra wojny, bo oto polecono świeżo utworzyć dwa nowe bataliony forteczne w gubernii piotrkowskiej w Królestwie Polskiem i jeden w Kownie na Litwie, a jednocześnie kazano z niezwykłym pośpiechem, a mianowicie bez odpowiednich formalności, wywłaszczyć grunta pod budowę koszar w mieście Siedlcach w Królestwie Polskiem. Wprawdzie jakieś tam zdanie mówi, że kto chce pokoju, ten musi się gotować do wojny, ale z drugiej strony, kto nie chce bitki, ten z cepami do karczmy nie chodzi.

Z Londynu wysłano prośbę do cara, podpisaną przez tysiące obywateli, aby zniósł wyjątkowe ustawy przeciw żydom. Prośbę tę odesłano Anglikom z odpowiedzią, że carowi nie może być przedłożoną, bo nikomu do wewnętrznych spraw rosyjskich mięszać się nie wolno.

Carewicz następca tronu rosyjskiego, przeszło pół roku już podróżuje po świecie. Najdłużej jednak zatrzymał się w Azyi, a mianowicie w Indyach, będących pod panowaniem angielskiem. Był już w Bombaju, w Hajderabadzie, w Jodpurze, Dżejporu itd. Polował na pantery, tygrysy i na dziki, przyglądał się uroczystemu pochodowi słoniów. Widocznie mu tam dobrze, kiedy tak długo siedzi. I nic dziwnego, bo Moskale od dawien dawna myślą tylko o tem, jakby to dobrze było Anglików wypędzić z Indyj i zawładnąć tym niezmiernie bogatym i wielkim krajem. Dlatego to Moskale coraz więcej posuwają się w Azyi w kierunku ku Indyom i cały świat wie, że kiedyś między Moskalami i Anglikami wybuchnie straszna wojna o Indye, bo kraj ten stanowi największe bogactwo Anglii. Pewnie carewicz co chwila się oblizuje i myśli tylko, jakim sposobem ten smaczny kąsek zagarnąć. Ale dużo wody upłynie, zanimby to się stać mogło, bo droga do Indyj jeszcze Moskalom daleka.

Anglia. Może być wojna — o psy morskie. Są to zwierzęta, ze szczekania, pyska, łba i grzbietu, do psów trochę podobne, ale mające zamiast łap do biegania, jeno szerokie płetwy, za pomocą których nurzają się w wodzie i pływają po morzu, łowiąc ryby w pobliżu brzegów. Morskie te drapieżniki mogą stać się powodem wojny między ludźmi, ba, między wielkiemi i potężnemi państwami, jakiemi są Anglia i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Mnóstwo tych zwierząt gromadzi się w cieśninie Berynga, która oddziela Azyę od Ameryki, a łączy ocean Spokojny (Wielki) z morzem Lodowatem. Anglicy tedy, których niezliczone okręty po całej kuli ziemskiej pływają, nie zaniedbali i w tej cieśninie częstych polowań na psy morskie urządzać. Zyski z tego mają duże, bo oprócz mięsa, zdatnego do jedzenia, i skór, psy morskie dostarczają mnóstwo tłuszczu, który na tran się przetapia. Ale amerykański brzeg cieśniny Berynga, choć to pustynia bezludna, jest pod panowaniem Stanów Zjednoczonych. Więc rząd tego państwa zamierza wykurzyć z tamtych okolic polujących Anglików, a prawo do polowania na owe psy sobie tylko zatrzymać. W tym celu wysyła pono do cieśniny Berynga całą wielką flotę, aż 23 okręty z wojskiem i armatami. Anglicy sobie pokpiwają z tego, mówiąc: „Alboż psy warte takiej ogromnej wyprawy!?“ Ale jeśli ta wyprawa istotnie polowanie na polujących Anglików rozpocznie, toć chyba wstyd im będzie stulić

uszy i uciekać; zechcą i oni pokazać, że nie są słabsi od Amerykanów, a wtedy i wojna gotowa. A o co? o psy.

Francya. Niejaki Labruyere ogłosił w dziennikach że dopomógł ucicc z Francyi Padlewskiemu, zabójcy jenerała Seliwerstowa. Za to sąd go skazał na trzynaście miesięcy więzienia. Sąd jednak wyższy (apelacyjny) uznał, że nie ma pewności, czy Labruyere rzeczywiście Padlewskiemu ułatwił ucieczkę i z tego powodu uwolnił go zupełnie od odpowiedzialności.

Izba uchwaliła z powodu niezwykle ostrej zimy dwa miliony franków (blisko milion reńskich) dla biednych w miastach, a dwa razy tyle dla biednych włościan. Francuzi do ciężkiej zimy nie są przyzwyczajeni, ztąd im tegoroczna tak się dała we znaki, że kilkuset ludzi zmarzło, a kilka tysięcy zachorowało. Takież wiadomości dochodzą i z Hiszpanii. Zamarzła tam rzeka Tag pod Toledo, czego nigdy dotąd nie bywało.

Turcya. W Tripolis kraju afrykańskim, należącym do Turcyi, postanowił rząd turecki znacznie wzmocnić fortece.

W południowej Arabii wybuchł rokosz, wskutek czego Turcya wysyła tam znaczną liczbę wojska.

Bułgarya. Zaburzenia, jakie od czasu do czasu wywoływali w Bułgaryi stronnicy Moskali lub tajni ajenci moskiewscy, ustały już teraz zupełnie. Książę Ferdynand, lubo do tej chwili nie jest potwierdzony przez rządy europejskie, panuje z zadowoleniem Bułgarów. Na Nowy Rok, który w Bułgaryi rozpoczyna się 13 stycznia, książę Ferdynand dziękował duchowieństwu, wojsku i ministrom za wierność i przywiązanie do tronu. Zapowiedział przytem, że w roku bieżącym starać się będzie o polepszenie administracyi kraju.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Walka pomiędzy wojskiem Stanów Zjednoczonych a Indyanami zupełnie ustała. Wodzowie Indyan przybyli na naradę do jenerała Millesa i oświadczyli, że się poddają.

Chili. Rewolucya w Chili nietylko nie ustała, ale coraz więcej się wzmaga. Przywódcami rewolucyi są kapitanowie okrętów wojennych. Powodem wybuchu jest pogwałcenie konstytucyi chilijskiej przez parlament, który nie chciał zatwierdzić budżetu wojskowego. Powstańcy wylądowali w Coquimbo, a wojska wierne rządowi miały ich otoczyć i wziąć do niewoli. Tymczasem w ostatniej chwili część wojsk rządowych połączyła się z powstańcami.

Rady gospodarskie.

Wywożenie nawozu stajennego w zimie.

Zdarza się dosyć często, iż na pola odległe wozimy nawóz w czasie zimowym, korzystając z drogi saunej i wolniejszej chwili, a przysparzając sobie tym sposobem więcej czasu na wiosnę do pilnych prac przy roli.

Wywożąc jednak nawóz z końcem miesiąca stycznia lub w lutym, gdyż w marcu droga już niepewna, musimy zwrócić baczną uwagę, by on w polu nie zmarnował się lub nie poniósł znacznego ubytku. Składany w małe lub duże kupy, nie stłoczone silnie i nie przykryte ziemią, przepala się nawóz i gnije zbyt szybko w czasie odwilży, wiatr zaś przewiewa go i unosi wszelkie części lotne, które stanowią najgłówniejsze pożywienie roślin. Im szersze są kupy, tem rozgrzanie bywa silniejsze, a wreszcie na wiosnę pozostaje nam ledwie połowa tego, cośmy wywieźli w zimie.

Z tego więc powodu niektórzy gospodarze rozrzucają nawóz zaraz po wywiezieniu go nawet w zimie, jeżeli rola jest równa i nie podlega spłukaniu. Postępowanie takie jest także błędne, gdyż nawóz ogrzewa się od promieni słonecznych prędzej, aniżeli ziemia, na której leży, wskutek czego części lotne uchodzą w powietrze, bo rola zmarznięta nie jest w stanie wciągać ich w siebie, jak to dzieje się w lecie. Następnie rozmarzanie ziemi przykrytej nawozem postępuje bardzo powolnie, opóźniając wszelką na niej robotę z nadejściem wiosny.

Ażeby więc uniknąć tych strat i niedogodności, postępować należy bardzo dokładnie w sposób następujący:

Nawóz trzeba układać w polu w kształcie wąskim a podłużnym, czyli w groble o szerokości 2 do 3 łokci, to jest tyle tylko, by saniami lub wozem można przejeżdżać po nich w kierunku ich długości. Wjeżdżając na złożony już nawóz z każdą następną furą, tłoczymy go bardzo silnie i ochraniamy przed zbytecznem przystępem powietrza do środka, a więc zapobiegamy zbyt silnemu ogrzewaniu się. Im wyższą będzie grobla z nawozu, tem ogrzanie to będzie mniejszem. Wysokość grobli nie powinna przenosić dwóch łokci, długość zaś może być dowolna, stosownie do ilości nawozu, którą dać chcemy na pole. Jeżeli większa przestrzeń ma być nawiezioną, to ze względu na łatwiejsze rozwożenie na wiosnę, można dać parę takich grobli, n. p. na każdym morgu osobno, układając je w odpowiednich odstępach na środku pola. Im dłuższa jest jednak grobla, tem robota około niej mniejsza.

Po wywiezieniu nawozu i ukończeniu układania grobli, należy obrać i ograbić ją starannie ze wszystkich stron, układając osmykaną mierzwę na wierzchu i zaokrąglając górą o ile możności. Jeżeli mamy w czem wywieźć gnojówkę, to bardzo korzystnem jest polać nią ten nawóz, a następnie przykryć go dokładnie na górze i po bokach ziemią, którą można wziąć tuż obok z roli. Staranne to i spieszne przykrycie jest rzeczą konieczną, nie może więc być zaniechanem nawet wtedy, gdy ziemia jest silnie zamarznięta, lecz wyrąbać ją należy siekierą i kilofem, a chociaż nie da się z początku rozkruszyć

dostatecznie, to rozgrzawszy się wkrótce od ciepłego nawozu rozsypie się na drobne części, poczem trzeba ją wyrównać, i przykryć wszelkie szpary, by mierzwa nigdzie widoczną nie była.

W sposób powyższy przechowa się nawóz stajenny w polu bez wielkiego ubytku jego części pożywnych i wyda mało mniej fur jak zawierał przy wywiezieniu. W każdym razie jest to sposob najlepszy ze wszystkich innych i wypróbowany wielokrotnem doświadczeniem. Na wiosnę nie trzeba spieszyć się zbytecznie z rozwożeniem takich kup po polu, lecz poprawiając kilka razy okrycie, wyczekiwać wypada aż rola obeschnie dostatecznie, by nawóz wkrótce po rozrzuceniu przyorać można. Mokre przyoranie jest bardzo szkodliwe i nietylko pozbawi nas całego pożytku z nawozu, lecz rola przez długie lata rodzić będzie gorzej, aniżeli gdyby była zupełnie nienawożoną. Przyoranie nawozu nie powinno być zbyt głębokie, a o tyle płytsze, o ile ziemia jest zwięźlejszą.

Miejsce, na którem nawóz leżał w grobli, należy wystrugać dokładnie i rozwieźć ziemię po polu, gdyż w przeciwnym razie zboże na niem wybujałoby zbytecznie i podlegało wylegnięciu.

A. Lippoman.

Rozmaitości.

W Dzianiszu pod Czarnym Dunajcem żyje staruszka Anna Łuszczkowa urodzona w r. 1775, liczy więc lat 115. Jest zdrowa, przytomna i rozmowna, ale niema żadnego utrzymania. Dobrzy ludzie pisali do nas, prosząc, abyśmy o tem w *Krakusie* wspomnieli, a może kto poszle staruszce jaką zapomogę choćby w odzieniu, bo biedaczka niema nawet w co się ubrać. Ktoby chciał jej dopomódz, niech się zgłosi do Jana Augustyńskiego w Witowie, poczta Czarny Dunajec.

Popiół i sadza. Zimową porą w każdym domu zużywa się wiele drzewa na opał. To też w wielu okolicach kraju, przejeżdżając przez wsie, widzisz przed każdem niemal domostwem szare smugi popiołu przez gospodynie na ulice wyrzucanego. Jest to dowód, jak u nas ludzie nie umieją cenić najużyteczniejszych rzeczy i marnują dobrowolnie swój majątek. Trzeba bowiem wiedzieć, że popiół jest jednym z najlepszych nawozów. Gdy go wysypiesz na ogród czy na rolę, to zasila ziemię o wiele skuteczniej nawet, aniżeli najlepszy obornik. Szczególniej dobrze oddziaływa popiół na kartofle i rozmaite ogrodowizny. W każdem więc porządnem gospodarstwie należy popiół skrzętnie zbierać i chować, a jak się go znaczniejszą ilość zgromadzi, wysiać z wiosną na ogród, gdzie mają być posadzone ziemniaki i inne warzywa. Rolnicy zamieszkali pod miastem powinniby skrzętnie skupywać popiół od mieszkańców miejskich i do domu go zwozić.

Ale prawdziwie użytecznym jest tylko popiół drzewny, popiół zaś z węgli kamiennych nie ma prawie żadnej wartości.

Równie dobrym nawozem jak popiół są sadze z pieców i kominów, więc kto może, niechaj i ten użyźniający ziemię materyał gromadzi.

Popiołu drzewnego i sadzy stosunkowo bardzo nie wiele na mórg ziemi potrzeba, aby ją użyźnić. Wystarczy na to dwa — trzy korce, a skutek będzie wyborny. Również i na łąki popiół jest doskonałym nawozem i przyczynia się bardzo nietylko do powiększenia ilości siana, lecz i do polepszenia jego dobroci.

Ludzi zmarzłych należy całkiem zanurzyć w śniegu, nie zakrywszy tylko ust i nosa. Po kilku minutach należy ich nacierać w zimnej izbie nie zbyt zimną wodą. Jeżeli serce zacznie uderzać, należy ich obetrzeć na sucho, położyć do łóżka i dalej nacierać. Póżniej trzeba napalić lekko w izbie i dać zmarzłemu troszkę ciepłej herbaty lub podobnego napoju, a następnie wina. Odmrożone ręce albo nogi trzeba także nacierać śniegiem, albo zimną wodą a potem obłożyć je kapustą lub płatkami nasiąkniętemi dobrze ciepłym karukiem.

Fraszki.

— W jaki sposób można najdłużej zachować świeżość mięsa wołowego?

— Zostawiając wołu przy życiu.

— Cobyś zrobił gdyby podczas przejażdżki konnej koń twój nogę złamał?

— Poszedłbym piechotą do domu.

Zagadka.

Z „*H*“ z przodu jam okolicą,
Morawianie mną się szczycą;
Z „*m*“ tym cudem łaski nieba,
Co użyczył w puszczy chleba;
Z „*p*“ nie panią ani wdową,
Z „*s*“ rozrywką twą zimową.
Z „*w*“ zapraszam do łazienki,
Byś był zawsze czyściusieńki.

Znaczenie zagadki w Nrze 3-im: *Księżyc.*

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 20 stycznia.

Płacono za pszenicę białą od 8.90 do 9.25 złr., za czerwoną od 8.80 do 9.20 złr., za żółtą od 8.50 do 9.10 złr.; za żyto od 6.90 do 7.30 złr.; za jęczmień browarny od 6.75 do 7.50 złr.; na paszę od 6.— do 6.20 złr.; za owies od 6.20 do 6.50 złr.; Rzepak od —.— do —.—. Wszystko za 100 kilogramów.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W drukarni „Czasu“ w Krakowie Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.